



Wojciech Brojer

część II z II

Sygnatura notacji: **N1308**
Data urodzenia: **01.06.1949 r.**
Data nagrania: **18.10.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 62 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wojciech Brojer: Byłbym się chyba poddał, gdyby nie to, że oni zarekwirowali mi dwie maszyny, bo kolega, który miał trefną maszynę, kilka dni wcześniej przyniósł do nas z prośbą, żeby tę maszynę przechować, bo ona jest trefna, namierzona i tak dalej, i tak dalej, i oni zabrali obie maszyny i ten facet na szczęście blefował i wskazał na maszynę, na której ten tekst nie był pisany, w związku z tym ja sobie pomyślałem: „Dobra nasza, blefuje. No to w takim razie ja nie muszę się tutaj do niczego przyznawać, aczkolwiek rzeczywiście są tutaj wyraźne poprawki moją ręką zrobione”, w każdym razie odmówiłem wszelkiej rozmowy i wyjaśnień, powiedziałem: „Ulotkę tę znalazła moja żona na ulicy, schowała do torebki i tak żeście ją zastali”, Ewa zresztą też to samo powiedziała, no bo to było oczywiste. Najpierw on przesłuchiwał Ewę, bo powiedział: „To nie skończy się dla was dobrze. A widzi pan tutaj tę szklanekę po herbacie?”, ja mówię: „Widzę”. „No to piła właśnie przed chwilą – czy przed godziną – pana żona, bardzo była smutna, płakała, bała się”, po prostu takie prymitywne metody. Ja powiedziałem: „Ja nic na to nie poradzę, jeżeli pana to wzruszyło, to bardzo proszę ją wypuścić, a mnie zostawić”. „Nie, nie wypuścimy was. Jesteście decyzją komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej internowani i przewiezieni zostanieie do Białołęki” – znaczy ja do Białołęki, Ewa do Olszynki Grochowskiej. I nas wywozili jedną suką, nie wiem, nie znam się na tych rodzajach tych furgonetek, w każdym razie odizolowani byliśmy tylko kratak, tak że mogliśmy się jakoś tam porozumieć i tam sobie dać znak siły. Ewę wywieźli do Olszynki Grochowskiej i tam ona wysiadła, a mnie zawieźli dalej do Białołęki. Tam mnie przyjął kolejny oficer i znowu to samo, znowu przesłuchanie. Ponieważ ja dalej odmawiałem jakiegokolwiek współpracy, to on, taki charakterystyczny moment, stanął przy oknie i powiedział: „Czy pan mógłby podejść do tego okna na chwilę?”, ja mówię: „No, proszę bardzo”. „Niech pan popatrzy” i ja zobaczyłem spaceriak, na spaceriakku bardzo dużo różnych ludzi spacerujących, więźniów Białołęki, między innymi Geremka i chyba Mazowieckiego, ale nie dam

głowy. Na pewno był tam Geremek, chociaż on jakby ciągle szedł innym torem tych zatrzymań, musiałbym sięgnąć do notatek. Na pewno był tam Geremek, no i kilka innych osób, które już znałem z Tygodnika, z Mazowsza, z telewizji, no to już się wtedy znało to środowisko dość dobrze, i on powiedział takie słowa: „Przecież pan jest katolikiem” – nie wiem, skąd on to wiedział. Ja mówię: „No jestem katolikiem”. „A niech pan spojrzy na tych ludzi, przecież to sami Żydzi są. Po co pan będzie w to wchodził? Niech pan da spokój”. Pamiętam to jak dziś. Mówię: „Proszę pana, miał pan rację, ja jestem katolikiem. Skończmy tę rozmowę”. To taka ciekawostka, bo rzeczywiście potem się wielokrotnie jeszcze w kontaktach z tą esbecją spotykałem, że oni dalej jechali na w gruncie rzeczy z sześćdziesiątego ósmego roku środowiskowym micie – znaczy to nie był mit, ja sobie w pełni zdaję sprawę, ale w każdym razie dla nich to była najważniejsza sprawa – Żydzi, którzy przedtem rządząli SB, a teraz oni – no, może nie katolicy, ale już w porządku. To pamiętam, bardzo taka charakterystyczna cecha tych esbeków była, wielokrotnie do takich właśnie rzeczy wracali. Przydzielono mnie do celi nr 27, wszyscy chyba byli w jednym pawilonie, być może właśnie Geremek i ta grupa, ona była w innym pawilonie, to była tak zwana chyba jedenastka, o ile pamiętam. Oni osobno byli też w Białołęce przetrzymywani, ale właśnie jedenaście osób w osobnym pawilonie. W tym pawilonie, w tej celi nr 27, pamiętam to dlatego, że jeszcze kilka razy udało mi się odwiedzić w ramach takich rekolekcji, już po przełomie, zorganizowanych przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa, żeby tam zajrzeć, jak to teraz wygląda, żeby porównać. Więc ta cela 27: cela była przygotowana, nie wiem, około trzydziestu metrów kwadratowych, była przygotowana na dwanaście osób, trzy stanowiska po cztery piętra i w czwartym narożu osłonięta już i o tyle to było lepiej niż na Mostowie, osłonięty klozet i umywalka. Nas było chyba dziesięciu pierwotnie – może nie, może było dwunastu, tylko że w momencie, kiedy ja przyszedłem do Białołęki tego 2 stycznia osiemdziesiątego drugiego roku, to tam trwał strajk głodowy i część tych więźniów, tych internowanych w tym strajku brała udział. To było zbyt późno, żebym ja się załapał na ten strajk, żebym w ogóle wiedział, o co chodzi i tak dalej, bo w momencie, kiedy ja się tam pojawiłem, rozwiązywała się właśnie sprawa strajku w ten sposób, że wszystkich tych, którzy zadeklarowali strajk, przenosili do innych cel, w związku z tym od nas z celi, tak jak ich miałem dwunastu, nagle się zrobiło dziesięciu, bo dwóch przeszło do tej celi gdzieś tam innej, odizolowano w każdym razie strajkujących od niestrajkujących. W mojej celi był – tak będę dzielić, chociaż nie przykładam do tego podziału specjalnej wagi – jeden inteligent, to był wspaniały zresztą człowiek, nieżyjący już pan Zdzisław Szpakowski, on był związany z KIK-iem warszawskim, z KUL-em, był wykładowcą KUL-u, człowiek, który miał wtedy chyba już sześćdziesiąt-siedemdziesiąt kilka lat może, może sześćdziesiąt siedem. Mnie się wydał bardzo dorosły, żeby nie powiedzieć stary, o niezwykłym poczuciu humoru; człowiek, który przesiedział, jak obliczono mu czy on obliczył, najdłużej w PRL-u, bo był zatrzymywany dziesięciokrotnie na czterdzieści osiem a oprócz tego w więzieniu siedział i tak dalej. Teraz już tych liczb nie pamiętam. Natomiast reszta to była troszeczkę taka zbieranina ludzi z warszawskich zakładów pracy, przede wszystkim było trzech świetnych chłopaków z Tramwajów Warszawskich – był taki szef Komisji Zakładowej, Zbyszek Knap, i było dwóch tramwajarzy. Mówię, że świetni ludzie dlatego, że niesłuchanie tacy, to ja wtedy rozumiałem, że ci ludzie, nie wszyscy oczywiście, ale ci właśnie aktywni, tacy, co to wiedzieli, że trzeba o coś walczyć, oni mieli bardzo dobrze poukładane w głowie i byli tacy zdrowi, łącznie z tym, że odmawiali na przykład głodówki, bo uważali, że to jest taka efekciarska demonstracja, a nie wiadomo, co za chwilę się z nami stanie i osłabiać się głodem, to nie ma sensu. Bardzo podpisywałem się pod tą diagnozą, nie znaczy to, że miałem rację, ale tak mi się wydawało, że to jest mądre, bo naprawdę, wszystko było do zniesienia, tylko jedno było nie do zniesienia: oczywiście że to nie był jednak proces, wyrok i wiemy, będziemy siedzieć tyle a tyle, tylko nie wiemy nic – ani czy będziemy siedzieć, czy nas wyprowadzą i rozstrzelają, no nic po pro-

stu człowiek nie wiedział i przez pierwsze trzy miesiące tego internowania to był właściwie nieustanny – lęk to może za dużo powiedziane, ale obawa, że z nami mogą zrobić wszystko. Ja się obawiałem podwójnie, ze względu na Ewę. W każdym razie muszę powiedzieć, że na początku źle znosiłem tę sytuację, w jakiej się znalazłem. Uratowało mnie inteligentnie zachowanie, mianowicie któryś z nich miał zeszyt, taki szesnastokartkowy, taki typowy PRL-owski zeszyt, a ja miałem nieodłączny ołówek, bo nigdy się z ołówkiem nie rozstawałem, i zacząłem pisać – zacząłem pisać to, co się dzieje, co się stało. Oczywiście biorąc pod uwagę, że w każdej chwili to, co napiszę, może wpaść w ręce niepowołane, w związku z tym musiałem pisać oględnie, musiałem pisać tak, żeby nie było żadnych nazwisk, musiałem pisać tak, żeby pewne rzeczy, które mogliby poczytać za kryminał, nie były tekstem przyznającym się do winy, w związku z tym taki behavior, taki , co się dzieje i to mi bardzo rzeczywiście pomogło. Te zapiski trwały do końca Białejki, czyli do 12 lutego i to mi bardzo pomogło, i ja te zapiski mam, tam może gdzieś komuś, kto będzie potrzebował, złożę to jako też dokument życia społecznego. One nie mają żadnej specjalnej wartości, chociaż tam także jakieś zapiski, powiedzmy, takie intelektualne też się w pewnym momencie zdarzają, jak już tak doszedłem do równowagi psychicznej, ale są takim zapisem, powiedzmy, który można potraktować jako anonimowy zapis człowieka, który znalazł się w pewnej nagłej opresji, może być ciekawe. Wzywano nas na przesłuchania. Zanim do nas dotarła wiadomość, o ile ja dobrze pamiętam, to ona dotarła przy pierwszym widzeniu, czyli gdzieś po dwóch tygodniach, że my możemy jako internowani nie poddać się przesłuchaniom, odmówić, no to rzeczywiście ja ze trzy razy byłem wzywany na to przesłuchanie i szedłem na to przesłuchanie. Te przesłuchania były rutynowe: „Czy pan może opowiedzieć, co się działo u pana na zebraniu tego a tego dnia?”. Jeden z tych ubeków mi nawet dał do zrozumienia, dlaczego wpadłem, powiedział: „Niech pan pamięta, że święty Piotr nie zawsze przynosi dobre nowiny” i zrozumiałem, że chodzi o Piotra Rachtana, o którym wspominałem, który przyprowadził tego właśnie człowieka, on się nazywał Sizigmunt. Wydało mi się jakieś dziwne to imię, ale może to ksywka, nie wiem. Nie spotkałem, nawet specjalnie nie szukałem tego człowieka, nie natrafiłem na jego ślad, nie wiem, kto to był, wszystko jedno. W każdym razie te przesłuchania zawsze się kończyły propozycją podpisania lojalki – jeżeli ja podpiszę lojalkę, to ja ewentualnie wyjdę. Ja odmawiałem, ale pewnego dnia za pewnym razem ten ubek był wyjątkowo grzeczny, wyjątkowo przemiły i wyjątkowo mnie prosił i mówił: „Wie pan, jest sytuacja taka, że trochę zależy od tego, czy pan podpisze mi tę lojalkę, to, czy ja dostanę awans”. Mnie to ubawiło, ale z drugiej strony mi się zrobiło żal tego człowieka, on naprawdę miał łzy w oczach. Na bardzo ostre takie zachowania ja miałem odporność, natomiast na takie, coś mnie, więc mówię: „Proszę pana, nie podpiszę panu tej lojalki, ale mogę napisać coś symetrycznego, takiego, pod czym mógłbym się podpisać”. I on mówi: „No tak, tak, tak, to niech pan po prostu odwróci tę lojalkę, tę kartkę, i tutaj napisze”. Ja napisałem, nawet próbowałem przed spotkaniem tutaj znaleźć to, ale nie znalazłem w tych papierach, które dostałem potem z IPN-u, ale mniej więcej pamiętam, bo lojalka polegała na tym, że podporządkuję się wszystkim rygorom prawnym stanu wojennego, no coś takiego. To była lojalka, że będę posłuszny rygorom stanu wojennego. Ja napisałem mniej więcej tak, że podporządkuję się wszystkim rygorom prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, które uważam za zgodne z moim sumieniem i z moją moralnością, i to podpisałem. On się strasznie ucieszył i to mnie trochę zaniepokoiło. Wróciłem do celi i mówię: „Chłopcy, podpisałem lojalkę”, a oni: „Coś ty zrobił?”. Mówię: „Czekajcie, podpisałem, zaraz wam powiem, jaki tekst, przypomnę sobie”, no i to przeczytałem. Jeden z tych tramwajarzy mówi: „No może być, tylko po cholere żes pisał tę Polską Rzeczypospolitą Ludową? Nie wystarczyło Polskę?”, i to mnie rzeczywiście urzekło – rzeczywiście powinienem powiedzieć „każde prawo w Polsce, które nie jest sprzeczne z moim sumieniem i z moralnością”. Rzeczywiście ubek chyba nie dostał awansu, bo mnie nie wypuszczono, w związku z tym

nie uznano tej lojalki za wystarczającą. Taki był ten mój pobyt w Białogórze. Nie miałem żadnych wieści – ani od ojca, nie miałem wieści od Ewy. Gdzieś pod koniec, chyba to było tak, że dopuścili do mnie moich teściów na widzenie – pod koniec, czyli gdzieś koło 20 stycznia. Dzięki temu wiedziałem coś o Ewie, bo oni byli dzień wcześniej, już Ewa była wtedy przewieziona do Gołdapi, to się dowiedziałem, poza tym nie wierzyłem teściom nic, co oni mi mówili, ponieważ wyraźnie było widać, że coś kryją, a za Boga nie powiedzą, jaka jest prawda, w każdym razie chyba od nich właśnie się dowiedziałem, że mogę odmawiać zeznań. Wiedziałem, że coś się niedobrego stało, to już tutaj uprzedziłem, że mój ojciec był w szpitalu po zawale, to już wtedy było tak. O Ewie też wiedziałem, że cokolwiek by nie było, to oni i tak powiedzą, że Ewa czuje się świetnie i że bym się o nią nie martwił, no więc to było bardzo takie przykre. Dwunastego lutego wywołano mnie znowu i powiedziano: „Pakuj się” – nie na żadne przesłuchanie, tylko gdzieś wyjeżdżam. Wiedzieliśmy, że jakieś grupy były wcześniej wywożone z Białogóry, nie wiedzieliśmy dokąd, nie wiedzieliśmy ku czemu, no po prostu ludzie znikali, tak bym powiedział, no to rzeczywiście też emocje, dlatego że na którymś przesłuchaniu jakiś ubek też mi powiedział, że zdecydowano, że zostaną przewiezieni do sądu i będzie w trybie doraźnym proces. Ja pamiętam podróż z tej Białogóry taką suką, gdzie widać było tylko z takiego wywietrznika krawężnik, że ja po tym krawężniku próbowałem się zorientować, gdzie my jedziemy i muszę powiedzieć, że nawet coś na tyle rozpoznałem, że zacząłem się uspokajać, że nie jedziemy do centrum miasta – centrum miasta mi się z sądem kojarzyło, choć sąd może być wszędzie – tak że zacząłem się uspokajać, że może to nie jest ten sąd, który tam mi znowu wymierzy jakąś karę, choć w świetle tego, co przed chwilą powiedziałem może łatwiej by było, gdybym dostał wyrok i wiedział, co się będzie ze mną działo i do kiedy, no lęk po prostu. I nagle otwierają się te drzwi, ja widzę, że jestem nieopodal tutaj tego lokalu, który znałem, bo tu mieszkali moi teściowie, właśnie na Jelonkach na Osiedlu Przyjaźni, mianowicie na lotnisku na Bemowie. Teraz to już jest zabudowane lotnisko, wtedy to było jeszcze pełnospektaklowe lotnisko i na środku tego terenu, przy którym nas wysadzono, stoi helikopter. Nagle widzę, że tam jest kilka osób, nikogo nie znam, i pan pułkownik, jak do dzisiaj pamiętam Romanowski, przedstawia się, że jest oficerem Ludowego Wojska Polskiego i ma zaszczyt nas powitać i powiedzieć, że będziemy przewiezieni do Jaworza, do ośrodka internowania i że z nami jest przedstawicielka Komitetu Prymasowskiego, która wraz z nami poleci i będzie ten ośrodek sprawdzała, żeby zobaczyć, czy warunki w tym ośrodku nie wymagają interwencji kościoła, takie jakieś różne opowieści. Ja nie mogę sobie przypomnieć, kto to był, ta przedstawicielka kościoła, bo to też nie było okazji do jakiegoś specjalnego gadania, w każdym razie załadowano nas do helikoptera i poleciliśmy. Pan pułkownik opowiadał bardzo żywo, zwracał nam uwagę na zator – wtedy był wielki zator na Wiśle pod Płockiem, przelatowaliśmy nad tym zatorem, pokazywał, jakie niebezpieczeństwa, że tu most jest właściwie bardzo zagrożony, no i dolecieliśmy do Jaworza. Jaworze to jest taka miejscowość wypoczynkowa dla wojska, która mieści się w środku słynnego dzisiaj poligonu Drawsko Pomorskie, dzisiaj to jest poligon NATO, a wtedy był to poligon sił Układu Warszawskiego, i rzeczywiście nas przydzielono do jakiegoś tam domu wczasowego, to były pawilony wczasowe. Sytuacja kompletnie diametralnie odwrotna niż to, co mieliśmy w Białogórze, bo to były piękne oszklone pawilony, przestronne, ze wspaniałymi łazienkami – tak nam się wtedy wydawało, na warunki PRL-owskie wspaniałymi – ze stolówką, w której nas obsługiwali kelnerzy w mundurach, więc to po prostu kompletny surrealizm, i właściwie wszystko by było w porządku, gdyby nie to, że został oczywiście ten niepokój, co dalej, jak długo i jaki koniec. Tutaj przerwałem już pisanie dziennika, bo po pierwsze, już się otrząsałem ze swoim losem, a po drugie, że nie było jak już tego opisywać, jak nas kelnerzy obsługują w mundurach w ciężkim więzieniu w kazamatkach, więc tutaj ten dziennik mój się urywa, no a taki dzień po dniu. Tam w tym Jaworzu zamieszkałem z Ryszardem Szatkowskim, z takim interwentem

z Regionu Mazowsze. O tyle mieliśmy dużo sobie do powiedzenia, że ja byłem ten interwent z działu listów „Tygodnika Solidarność”, bo nie raz – nie powiedziałem o tym – moja działalność nie ograniczała się do pisania listów, ale także do interwencji w terenie, a on był interwentem w Regionie Mazowsze. Postać niezwykle barwna, którą anonsuję do kolejnego zeznania, bo on wspinały w ogóle człowiek, gawędziarz nieprawdopodobny, chwilami nawet może nudziarz, ale opowiada niebywałe zupełnie rzeczy, w które się nie wierzy, a potem się one sprawdzają co do joty. Naprzeżywał się bardzo, on zresztą jest w wieku, który pozwala mu pamiętać wojnę, w związku z tym także jeszcze od wojny ma wspomnienia, siedem lat miał, jak było Powstanie Warszawskie, więc to już jest starszy pan, ale w pełnej jasności umysłu, więc warto by było, mieszka w Milanówku. Więc ja z nim zamieszkałem, jeszcze naszym towarzyszem, ale krótko, jakiś miesiąc, bo potem został zwolniony, był Sławomir Kretkowski, taki działacz KOR-u, a potem działacz w Regionie Mazowsze. Tam już był taki mniejszy rygor, już spacerniaki były wspólne, tak że mieliśmy lepszy kontakt. Tam nagle uzyskałem kontakt z Geremkiem, tak że on zaczął mnie namawiać, żebym ja kontynuował pracę doktorską, o czym wspominał Andrzej Józef Dąbrowski, no i to już zaczęło być takie niewygodne w innym sensie niż dotąd, natomiast ten lęk ustępował stopniowo dlatego, że stopniowo, gdzieś tak od połowy kwietnia, zwłaszcza w pierwszej połowie maja, zaczęto zwalniać zupełnie przyzwoitych działaczy, czyli takich ludzi niebezpiecznych – Jana Walca zwolnili, właśnie owego Kretkowskiego, cały szereg ludzi. Zwalniali według klucza takiego, żeby nikt się nie zorientował, jaki jest klucz, więc być może rzucali monetą, bo zwalniali i takich jakichś lokalnych działaczy, których tam też było sporo, gdzieś tam z okolic Szczecina, Słupska, i zwalniali tych właśnie takich najbardziej niebezpiecznych wywrotowców. To nam dawało jakieś tam ślady rękoi, że nie jesteśmy do końca zakładnikami, których przyjdzie w odpowiednim momencie rozstrzelać. Ja tutaj żartuję czy przesadzam, ale w każdym razie to bym chciał podkreślić, że to się przez pierwsze kilka miesięcy wiązało naprawdę z porządną obawą. Taką obawę jeszcze przeżyła znacznie bardziej dramatycznie moja żona w czasie przewozu z Olszynki Grochowskiej do Gołdapi, dlatego że je wieźli nie helikopterem, nie wiem dlaczego, tylko suką, skute, i w pewnym momencie one zobaczyły przez jakiś tam lufcik, jakieś okienko, po długiej jeździe, biało-czerwony szlaban i zaczęły pytać, co to jest za szlaban, i te profoski, czy jak tam się na te ubeczki, które asystowały, powiedziały: „To jest granica polsko – radziecka”. To był szlaban do ośrodka jeszcze bardziej wypasionego, bo to był Ośrodek Radia i Telewizji, słynny ośrodek Macieja Szczepańskiego, ośrodek wypoczynkowy, natomiast one były wiezione przez jakiś czas, przekonane, że minęły granicę polsko-radziecką, taki żarcik sobie zrobili te ubeczki, no ale to ona opowie, jeżeli będzie jej kolej. W każdym razie gdzieś chyba koło 15 maja [była] kolejna przewózka, tym razem, już teraz się zaciera ta pamięć, chyba już jakąś suką do Darłówka nad morze, którego nie widziałem, i tam nas znowu jakiś ośrodek, nomen omen nazywał się „Gniewko”, był ośrodkiem nie wojskowym, tylko jakiejś chyba kopalni. I znowu to samo, w świetnych warunkach, tylko tyle, że kłódki, otwierane tylko na spacer i tak dalej, i tutaj się okazało, że ja ląduję w jednym pomieszczeniu, w jednej celi powiedzmy, w jednym pokoju z profesorem Bronisławem Geremkiem, którego znam skądinąd, magistrem można powiedzieć Tadeuszem Mazowieckim, którego znam skądinąd z Tygodnika oraz ze Stefanem Amsterdamskim i jego bratankiem, Piotrem Amsterdamskim, no więc najwyższa wierchuszka, jaką można sobie wyobrazić. Właściwie nie bardzo wiem, na jakiej zasadzie to było – mnie się wydaje, że oni się dobrali, bo się tak dobrali, bo sobie ufali, a bojąc się, ponieważ jeszcze jedno miejsce było w ich pokoju, to dobrać człowieka, którego znają. Że mi ufali – nie wiem, w każdym razie nie tak jak sobie, bo oni się znali bardzo dobrze, ale w każdym razie na tej zasadzie ja chyba tam wylądowałem, wręcz mnie poprosili, żebym ja do nich doszedł, żeby kogoś tam nie wpakować im nie takiego. No i tu się zaczęła rzeczywiście taka trochę obserwacja moja tego środowiska najwyższej

rangi, bo to przecież już wtedy było wiadomo, że będzie ich taki a nie inny los i jeden zostanie premierem, a drugi ministrem spraw zagranicznych i obaj posłami i senatorami i tak dalej, to ja tego nie spodziewałem się, oni też zresztą chyba nie. W każdym razie to było dziwne, dziwne środowisko. Miałem z nimi pewne kłopoty mentalne, wydali mi się, nie będę opowiadał szczegółów, bo niedobrze jest mówić o zmarłych, wszyscy już nie żyją, łącznie z tym Piotrem, który był bardzo młody, znacznie młodszy ode mnie, wydali mi się, powiem najkrócej, naiwni politycznie, znaczy tacy, co to kompletnie nie znają społeczeństwa, w ogóle nie wiedzą, dziwią się rzeczom, które są oczywiste, oczekują rzeczy, których się w zasadzie nie da zrealizować w żadnym społeczeństwie, no tacy mi się wydali oni, tak że potem może tak się ustawiłem i moja ocena ich jako polityków już aktywnych nie jest wysoka. Tutaj jeszcze raz wspomnę, że ja Geremka traktuję jako wybitnego mediewistę i historyka, tak jako polityka bardzo nisko, bo to nie jest tak, że jak ktoś jest wybitnym historykiem, to musi być wspaniałym politykiem i odwrotnie, to nie idzie tak prosto. W każdym razie tam z nimi spędziłem pięć miesięcy, cztery miesiące. W międzyczasie wypuścili moją żonę, osiągnęła niezwykły, bo wypuścili ją jako ostatnią dwudziestkę internowanych kobiet, czyli się okazało, że ona była w dwudziestce czy dwudziestce jedyne najbardziej niebezpiecznych kobiet w PRL-u, a to osoba niezwykle łagodna i właściwie niewiele, oprócz tego, że miała tę ulotkę, przestępstw dokonała, w każdym razie ją wypuścili dopiero 20 lipca, no i wtedy się z nią zobaczyłem na widzeniu i zobaczyłem, że wygląda całkiem nieźle i że sobie dała radę psychicznie z tym. To było już znacznie prościej. We wrześniu przyszła informacja, że mój ojciec dostał drugiego zawału i mnie warunkowo wypuszczono na miesięczną przepustkę. To trwało oczywiście, to nie tak było, że mój ojciec dostał zawału i ja na drugi dzień już byłem przy nim, tylko ta procedura trwała ze dwa czy trzy tygodnie, tak że już ojciec był w niezłym stanie i był w domu, ale to był człowiek tak jakby przez te pół roku upłynęło piętnaście, zupełnie kto inny. Na tej przepustce ja byłem przez ten miesiąc – odnowiłem znajomości, poznałem nowych ludzi, bo oczywiście spodziewając się ogona ewentualnego, czyli że ktoś za mną chodzi, robiłem to ostrożnie, ale odwiedzałem domy swoich znajomych, między innymi wspomnianą na poprzednim zeznaniu przez Andrzeja Dąbrowskiego Jagiellońską 28 – to był taki niezwykły dom, w którym myśmy się spotykali przed stanem wojennym i tworzyli taki krąg ludzi kompletnie nie zwracających uwagi na politykę, tylko raczej szukających podnieci artystycznych, piszących wiersze, opowiadania, jakieś tam eseje, chodzących do kina, do teatru, fotografujących, i nagle ja wracam po tym czasie dziesięciu miesięcy na tę Jagiellońską i widzę, że jest to po prostu melina podziemna. Oni wszyscy, ci artyści, pięknoduchy, zaangażowali się po prostu w działalność podziemną, to o tej działalności też czy teraz czy potem, to już jak tam uznacie, opowiem. Po miesiącu wezwano mnie do Pałacu Mostowskich i ubek powiedział, że właśnie jest kolejny nakaz internowania, jeżeli nie podpiszę lojalki i ja nie wyjdę długo z tego internowania, w związku z tym znowu mi tę samą lojalkę podsunął. Ja powiedziałem: „Proszę pana, dziękuję za to, żeście mnie wypuścili ze względu na zdrowie mojego ojca na przepustkę i ja wracam, nie mam zamiaru uciekać ani się ukrywać, wracam do ośrodka internowania. Nie będę nic podpisywał”, na to on powiedział: „No to pożałujesz”, po czym dwa dni później pocztą przysłano z datą wcześniejszą niż ta rozmowa zwolnienie z internowania, więc oni mieli takie właśnie, że jeszcze spróbujemy raz, no podpisać lojalkę. Naprawdę nie miałem ja po tych kontaktach z SB dobrego zdania i sobie myślałem, że jest nadzieja, to już nie mają ani pazurów, ani zębów, ani nawet rozumu – to już nie to, co w latach buntu i naporu i w latach pięćdziesiątych, tak że zobaczyłem jakiś schyłek tego systemu właśnie, już wtedy obserwując tych ubeków i tę ich przymilność na zmianę z taką niedobrze udawaną złością. To był już cień cienia na szczęście. Tu się rozdział nowy mojego życia rozpoczyna. Tak jak mówię, na tej Ordynackiej to myśmy tam nic nie mogli robić, bo mieszkanie było spalone, natomiast na Jagiellońskiej, wśród tych naszych przyjaciół, gdzie trzeba wymienić Bogdana Kosa,

który najmniej był polityczny – to jest elektronik, jest dalej, żyje, świetnie się ma, ale nie mój kolega z elektroniki, bo studiował we Wrocławiu, jest ode mnie o osiem lat starszy, więc wcześniej studiował, on jest doktorem fizyki, bo potem poszedł na doktoranckie studia z fizyki i je zrobił w terminie w odróżnieniu ode mnie, a oprócz tego poetą, który wydał kilka tomów wierszy, autorem opowiadań i prawie czynnym kabalistą – mówię „prawie czynnym”, bo raczej się ostatnio zajmuje historią kabały niż uprawianiem kabały, powiedzmy, kabalistą w tym najlepszym słowa znaczeniu, nie chodzi o karty wróżebne; jego żona, nieżyjąca już Ninel Kameraz-Kos, też bardzo zaangażowana, choć z rodziny przywiezionych ze Związku Radzieckiego w czterdziestym szóstym roku komunistów pochodzenia żydowskiego, i oni takimi komunistami do śmierci zostali, choć byli bardzo łagodną wersją, nie działali w żadnych służbach, tylko działali w spółdzielczości, ale mieli zadanie oczywiście, żeby tę spółdzielczość polską z dobrymi przedwojennymi tradycjami dostosować do wymogów życia komunistycznego, natomiast Ninel rzeczywiście umiała się odseparować mentalnie od tej przeszłości jej rodziców, ale mówię, nie było takiego działania ich, żeby można było w jakiś tam sposób potępiać, po prostu byli taką a nie inną warstwą społeczną, nazwijmy to tak, o takim a nie innym losie, przeszłości i tak dalej, natomiast Ninel była bardzo zaangażowana w ten podziemny ruch. Tam się pojawiło dwóch fantastycznych zupełnie drukarzy – Norbert Pietrzak, który niestety w osiemdziesiątym piątym roku tragicznie zginął na skutek choroby i Grzegorz Eberhardt, który wtedy był drukarzem, a potem stał się fantastycznym historykiem literatury i on napisał potężną, piękną monografię o Józefie Mackiewiczu, strasznie gruby tom, i przywrócił właściwie pamięć o Józefie Mackiewiczu polskiej kulturze. Niestety umarł cztery lata temu w trakcie pisania o Stefanie Korbońskim. Zdaje się, że to spadnie na mnie, że ja będę musiał to dokończyć, chociaż mam inne zajęcia, no ale trudno. I ta właściwie czwórka plus Andrzej Dąbrowski, no i ja tam próbowałem się dołączać, stworzyła takie wydawnictwo, które najpierw się nazywało przewrotnie „Pershing” na złość komunistom, bo nas ciągle straszili przecież amerykańskimi pershingami, a potem się nazywało „Los” i myśmy wydali kilkanaście broszur na sicie drukowanych w tym wydawnictwie „Los”, a oprócz tego drukowaliśmy „Tygodnik Wojenny”. O „Tygodniku Wojennym” chwila: mianowicie on powstał w gruncie rzeczy niedługo po naszym internowaniu, już w styczniu, tak jak mi zeznają, bo ja nie byłem świadkiem w naturalny sposób, jako właśnie efekt naszych wstępnych przemyśleń. To taka specjalna technika fotoczuła: na siatce emulsja, która jest światłoczuła, części naświetlone przez matrycę potem się chemicznie wypłukuje, a części nienaświetlone się utwardza i w związku z tym jak się nałoży na takie sito negatyw, to wychodzi takie sito, gdzie przy pomocy przeciskania farby drukuje się na kartce papieru. Ja to pokażę, bo mam tutaj takie sito, niestety nie wydrukuję, ponieważ nie mam rakla, czyli takiego przyrządu wyposażonego w gumową końcówkę, którą się po tym sicie jeździ, no bo jeździć czymkolwiek innym, natychmiast by się sito zniszczyło. Myśmy to nazywali swojsko „ta rakla”, a w zasadzie jest „ten rakiel”, ale nam bardziej pasowała kobieta do tego. Więc jak mnie nie było, nie byłem tego świadkiem, Bogdan właśnie opracował tę technikę i przygotowywał sita właśnie dla „Tygodnika Wojennego”, które wydawała grupa związana częściowo z „Tygodnikiem Solidarność”, a częściowo z innymi tam kręgami – Janek Doktor, Stasia Domagalska, która była pracownikiem tygodnika z działu listów również, moja koleżanka, przez którą ja tam trafiłem w ogóle. Kto tam jeszcze był? Ów Piotrek Stańczyk, Skalski Ernest pisywał, no była taka grupa, to można wyczytać, bo o „Tygodniku Wojennym” stosunkowo dużo jest. Gdzieś tak w połowie stycznia doszły do mnie cukierki, które ktoś przyniósł na widzenie. Te cukierki były czekoladowe, zawinięte w papierki, zawinięte w taką torbę. Nie przepadam za cukierkami, ale te cukierki zacząłem odwijać i widzę, że coś jest czekoladowe, ale coś nie pasuje, i nagle biorę, i okazuje się, że to są paski papieru, jakoś tak zabezpieczone, że ta czekolada się tego nie imać, paski zadrukowanego na maszynie papieru – myślałem, że na maszynie – i te paski są numerowane. Ja rozwijam te wszyst-

kie cukierki w tej celi, patrzę, czy tam nie podpatrują, i ja mam dwadzieścia jeden numerów i to mi się układa w tekst, a główny cukierek to jest winieta „Tygodnika Wojennego”, i ja w ten sposób otrzymałem do celi pierwszy numer „Tygodnika Wojennego” i dali mi w ten sposób – nie wiem, kto to mi zrobił, nikt się nie przyznał, później dowadywałem się, w każdym razie miałem pierwszy numer „Tygodnika Wojennego” świeżo, a nie że musiałem czekać, aż wyjdę z pudła. To takie wspomnienie. Potem po wyjściu to się dołączyłem do tych grup, które trochę tam i redagowały, i trochę pisały, i nie wstydziłem się drukowania, bardzo mi się zawsze świetnie drukowało z Grzesiem Eberhardtem, bo on zawsze miał coś bardzo ciekawego do opowiedzenia, bo to trzeba było drukować parami, bo jeden raklował, a drugi podbierał kolejne papiery, no i tak z wyjątkiem tego dramatu śmierci Norberta dotrwaliliśmy do osiemdziesiątego dziewiątego roku, wydając podziemne numery najpierw „Tygodnika Wojennego”, potem za sprawą Andrzeja Fedorowicza, pseudonim „Plastyk”, bo on był malarzem – facet o niebywałych zupełnie zdolnościach artystycznych i technicznych – zbudował samodzielnie maszynę offsetową, dwie nawet maszyny offsetowe – z jedną coś tam nie wyszło, druga nawet była przez jakiś czas przechowywana tu, w tym garażu obok naszego domu, a drugą maszynę offsetową zbudował, zanim jeszcze w ogóle były szanse przemytu i na tej maszynie offsetowej był drukowany PWA, czyli Przegląd Wiadomości Agencyjnych i w tym też przygotowanie techniczne robił Bogdan, a myśmy to jakoś tam drukowali, choć w naturalny sposób nasza rola już była mniejsza, bo to robiła maszyna a nie dwójka czy kilka dwójek ludzi raklujących i podbierających, no a potem jeszcze się pojawiło z inspiracji Andrzeja Fedorowicza drugie Radio „Solidarność”, no i o tym drugim Radio „Solidarność” to już zapewne opowiadał bardzo wyczerpująco Andrzej Józef Dąbrowski, który był jakby takim redaktorem tego radia, twórcą tekstów ostatecznych, choć Janek Strękowski przynosił jakby te takie surowe wiadomości, które trzeba przekazać w radio. Ja przez pewien czas, niby jako ten elektronik, obsługiwałem technicznie to radio od strony nagrania, no a potem zabierana była ta nagrana taśma i gdzieś tam puszczana w godzinach Dziennika Telewizyjnego w innych rejonach niż pierwsze Radio „Solidarność”, które, jak wiadomo, zorganizował Zbyszek Romaszewski, i to właściwie tak bym doszedł do finału tego mojego. Ten finał polegał na tym, taki ostry finał, że ja ze swoją żoną i naszą już wtedy sześciolletnią córką wyjechaliśmy na takie stypendium mojej żony do Stanów Zjednoczonych. Było to 6 lutego osiemdziesiątego dziewiątego roku i pamiętam, że spotkałem się jeszcze wtedy z Geremkiem, który chciał, żebym ja coś tam przekazał w Stanach Zjednoczonych, jakiś list komuś czy coś takiego, i mi powiedział tego 6 lutego, że mogę jechać spokojnie, bo on tu będzie pilnował i nie da zmarnować ojczyzny. Szóstego lutego rozpoczął się Okrągły Stół, on jechał na Okrągły Stół, spotykając się ze mną na lotnisku, kiedy ja wyjeżdżałem, tak że to też taka zbitka zdarzeń, no ale zmarnował, tam to zakończył. Ani Heleny Łuczywo nie znałem, ani chyba Zdzisława Łuczywo. Ich trzeba spytać, Helenę Łuczywo, choć ja rozumiem, że to jest inna opcja, ale ja o tym się dowiedziałem, a potem mi rzeczywiście ktoś mówił, że znał tego Zdzisława chyba Łuczywo i on miał różne inne takie świetne pomysły, natomiast że sito podziemie zawdzięcza właśnie jemu, bo on opracował technikę, której potem się nauczył Bogdan, która dała taką trwałość temu situ, bo inaczej to co piętnaście ruchów czy, powiedzmy, co trzydzieści ruchów trzeba by było od nowa naświetlać to sito dla takich ludzi, którzy robią grafikę w piętnastu egzemplarzach, jego nie interesuje, co się stanie przy dwudziestym, natomiast myśmy robili po 3000 odbitek dziennie. To były po prostu sterty, chociażby w tym domu, ale także w wielu domach tu w okolicy, bo tu można było właśnie jakoś dyskretnie wywieźć i dyskretnie zanieść, więc tutaj sporo domów się angażowało w to, to rzeczywiście były sterty papieru zadrukowanego. Taka anegdota, że jeden z naszych sąsiadów, który oddał mieszkanie pod druk, co było ogromnym ryzykiem, bo to nie nasze mieszkania, w związku z tym w każdej chwili można było wręcz wylecieć stąd na bruk, więc było ryzyko, to on jeszcze w dziewięćdziesiątym piątym roku, jak tutaj było pięć-

dziesięciolecie osiedla, to była wystawa organizowana i ja spytałem go, czy mogę podać jego nazwisko jako właściciela czy też decydenta domu, w którym się drukowało „Tygodnik Wojenny”, i on powiedział, że nie, że on jeszcze nie wie, jak to się wszystko, on woli zachować incognito i się nie przyznał, zabronił podawania – wtedy już to splendor był – powiedział, że nie, ale już teraz się przekonał. Nie wiem, zestarzał się, jest mniej uważny, nie wiem. Natomiast ja drukowałem w pięciu domach, wiem, że inne grupy, jakieś tam inne ośrodki drukowały w kolejnych pięciu co najmniej, więc dobra statystyka, bo tutaj jest tych domów około osiemdziesięciu, czyli 1/8, tak? To jest dobra statystyka. Natomiast wydajność rzeczywiście trzeba było nie raz, myśmy robili bardzo różne rzeczy: oprócz tego żeśmy drukowali oczywiście książki, ten „Tygodnik Wojenny”, tośmy drukowali tak zwane „cegiełki”, ulotki oczywiście, ale „cegiełki” to była tak zorganizowana rzecz, że jak się dowiedzieliśmy, że w regionie na przykład słupeckim, konkretnie najbardziej pomagaliśmy Słupeckowi, Wałbrzychowi, Bielsko-Białej, ale w słupeckim była sytuacja taka, że po internowaniu tych biednych przewodniczących lokalnej „Solidarności” wyrzucili z pracy, żony im wyrzucili, oni byli po prostu bez środków do życia, bo to było dość małe miasto, w związku z tym można było zrobić taki wilczy bilet, że oni nie mieli żadnych szans na żaden zarobek, łącznie z tym, że na czarno również nie, bo się bali ubecji ludzie, w związku z tym trzeba było im nagle pomóc, żeby mieli z czego żyć. Myśmy opracowali graficznie zresztą, ten właśnie Andrzej Fedorowicz „Plastyk”, on opracował mnóstwo znaczków pocztowych, mnóstwo takich „cegiełek”, zrobiliśmy taką grafikę, którą odbiliśmy, nie wiem, w 1000 egzemplarzy i po 10 złotych to się sprzedawało, i tutaj, i w regionie słupeckim, i to były pieniądze, które zostały w całości przeznaczone, myśmy to robili za darmo, akurat to, no bo poza tym nie ulega wątpliwości, że kilka osób – ja nie, bo ja akurat pracowałem równolegle – z tego żyło, właśnie ze znaczków. Sprzedawaliśmy książki, broszury, powiedzmy, bo tak: po pierwsze, nie mieli pracy, po drugie, jak się chciało tego narobić tyle, żeby to starczyło na wszystkich, bo rozchwytywane to było naprawdę fantastycznie, no to nie było czasu na pracę, trzeba było od rana do wieczora siedzieć i tłuc te [znaczkę], natomiast takie rzeczy robiliśmy rzeczywiście, no i niestety ten chłopak, ja już nawet nie pamiętam, jak on się nazywał, przewodniczący regionu słupeckiego, on właściwie do samej śmierci, a umarł gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych chyba, do samej śmierci był w tym Słupsku prześladowany, właściwie nie miał życia. Mam kilka dowodów na to, te schematy: prześladowany działacz „Solidarności”, potem podziemia, i dominujący, władający ubek do dzisiaj trwają – jeżeli nawet nie ci sami ludzie, to ich dzieci. To jest po prostu niebywałe, w małych miastach to do dzisiaj trwa, tak że to jest smutne. I taki był właśnie przypadek Słupska, który wcale nie jest już małym miastem. Nie wiem, jak teraz, jak jego dzieci, ale ta rodzina się borykała [z prześladowaniami] do końca lat dziewięćdziesiątych. Wyjechać nie mieli za co, nie mieli gdzie, nie mieli jak. I tak było.